

Część I

Święto Morza

To było pierwsze w wolnej Polsce Święto Morza. Był rok 1932. Uroczystości wyznaczono na 31 lipca. Od paru dni zaczęli zjeżdżać się goście. Kolej sprzedawała do Gdyni ponad pięćdziesiąt tysięcy biletów, ale przy pięćdziesięciu tysiącach rachunek się wszystkim pomylił. Na placach, wolnych jeszcze terenach, przygotowano dla takiej liczby ludzi prowizoryczne schroniska, pola namiotowe, lub po prostu biwaki pod gołym niebem, wszak była pełnia lata. Zjeżdżały wycieczki szkolne i harcerskie. W dniu uroczystości liczba ludności Gdyni niemal się podwoiła, szacowano, że ściągnęło tu sto tysięcy ludzi, na ulicach słychać było gwar i rozmowy w językach różnych dzielnic Polski – Ślązaków, wilnian, Hucułów, górali. Większość z nich w życiu nie widziała morza. Stawali na brzegu, patrzyli w bezmiar horyzontu, z nabożnością słuchając tajemniczego szumu fal.

Miasto przybrało prawdziwie odświętny wygląd, wszystkie budynki w biało-czerwonych chorągwiach, przystrojone balkony, portale domów. Wszędzie panował świąteczny nastrój.

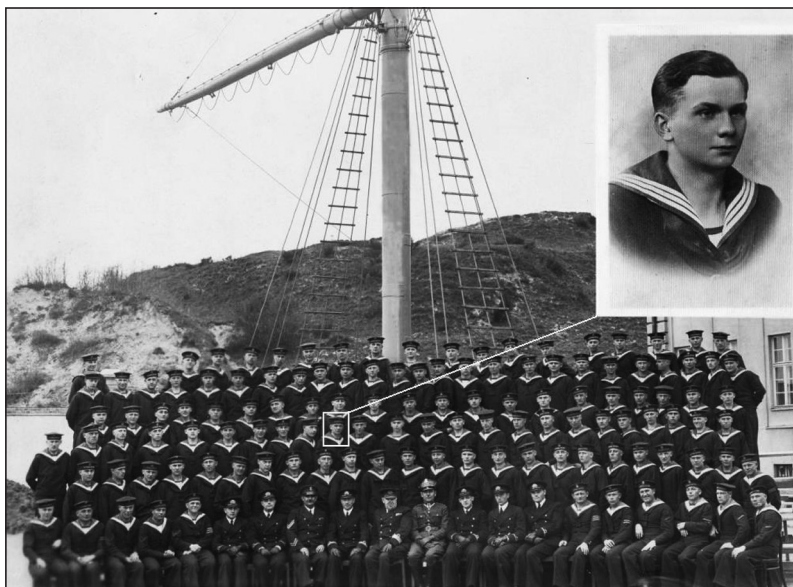
W porcie stały trzy okręty podwodne, kontrtorpedowiec ORP „Wicher” i sporo innych, pomniejszych jednostek. Z Wejherowa przybył batalion morski, obok w ordynku marynarze, za nimi piechota w sile pułku, kawaleria.

Uroczystości zaczęły się punktualnie o godzinie dwunastej. Kiedy orkiestra, jak grzmot, huknęła *Jeszcze Polska nie zginęła*, licznie zgromadzeni na placu i na pobliskich wzgórzach, mieli łzy w oczach. Po chwili, większość już nie hamując wzruszenia – po prostu płakała. Były w tych łzach serdecznych, nie tylko wzruszenie, zachwyt, ale i duma. Oto po ledwie dwunastu latach niepodległości, polska siła staje nad Bałtykiem, port po jedenastu latach budowy, już widać, jaki będzie wielki.

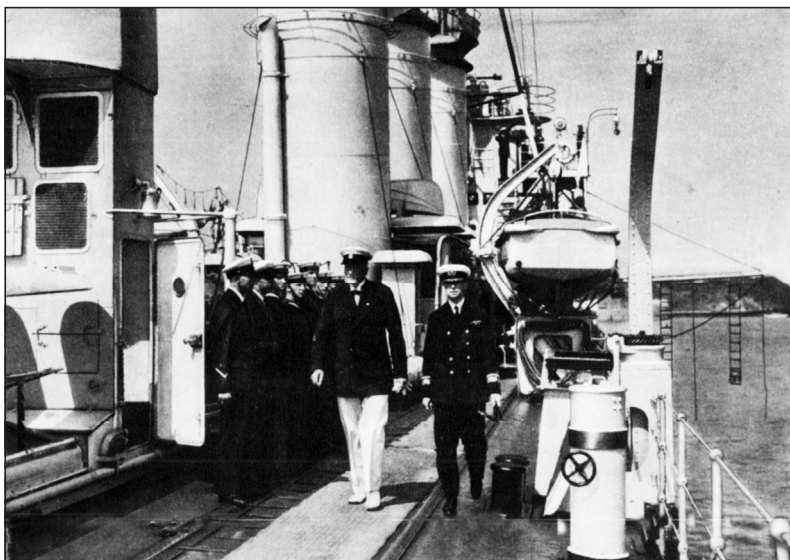
Po mszy świętej, przemówił prezydent Ignacy Mościcki. Powiedział to, co większość czuła, powiedział, że „Gdynia to kamień



Prezydent prof. Ignacy Mościcki przed uroczystościami Święta Morza, rok 1932, odwiedza port Marynarki Wojennej na Oksywiu.



Pamiątkowe zdjęcie z lat dwudziestych, rocznik marynarzy w koszarach na Oksywiu. Urządzenie na drugim planie, to słup ćwiczebny, namiastka masztu z wantami i reją.



Prezydent Ignacy Mościcki na ORP „Wicher”.

węgielny polskiej państwowości”, państwowości nowoczesnej, która jest niemożliwa bez dostępu do brzegu morza.

Ulicą 10 Lutego, bo ta ulica była wtedy główną arterią Gdyni, ruszyła defilada wojskowa, którą otworzyli marynarze, za nimi poszły inne formacje wojskowe. A po nich rozpoczął się pochód wielu organizacji i stowarzyszeń, które przysłały swoje delegacje na to wielkie święto. Dawno optowali za jego urządzeniem wójt Radke, wojewoda Stanisław Wachowiak, a także Stefan Żeromski.

Jednocześnie na morzu rozpoczęła się parada okrętów, którą prowadził pod pełną galą flagową Okręt Rzeczypospolitej Polskiej, „Wicher”.

Oto Polska, za sprawą Gdyni staje się państwem morskim. W jakże krótkim czasie dokonano czegoś, o czym marzyły pokolenia. Było z czego być dumnym – port gdyński, ciągle rozbudowujący się, miał już wkrótce wyprzedzić pod względem przeładunków, Gdańsk. Mało tego, miał przez najbliższe lata stać się najnowocześniejszym portem na świecie. Przez sześćdziesiąt lat utrzymać miało najnowocześniejszego portu Europy.

Aby prześledzić, jak do tego doszło, cofnijmy się o jedenaście, dwanaście lat.

W nocy z 27 na 28 czerwca 1920 roku od morza ciągnęły chmury, szły nisko, nad strądem zaczynał je targać inny, lądowy wiatr. Księżyc stojący w drugiej kwadrze przelatywał przez te kłaczące zwały chmur z niesamowitym pośpiechem. W całej wsi słyszało się huczenie morza. Jednakże ranek 28 czerwca wstał rosisty i jasny.

Detlaff, Konkel, Nowc, Tesmer, Panczocha – cała maszoperia – wyruszyła na połów zaraz po drugich kurach. A gdy niebo na wschodzie zaczęło podchodzić czerwienią, już pod Helem ciągnęli ciężkie żaki. Wyruszył też swym kutrem najbogatszy rybak we wsi, Jan Kurr.

O wschodzie słońca wypędzono bydło na łąki za rzeką Kaczą. We wsi z gburskich kominów zaczynał sączyć się dym, jasny, drzewny. Najpierw budziła się zagroda Gruby, najbogatszego gospodarza, jego pola ciągnęły się aż pod Redłowo do figury św. Jana, stojącej przy gdańskim trakcie, potem Tutkowskiego, Górskiego i pobożnego Wilmy.

Zza chałup dolatywał jeszcze senny gwizd lokomotywy. Ocalały z wojny kociółek fukając i dysząc ciągnął trzyosobowe brudnozielone wagony. Na stacyjce nikt pewnie nie wysiadzie, może ktoś do kurhauzu Szykowskiego. Wszak Gdynia jest wsią już po trosze przyciągającą letników.

W kurhauzie panowała cisza. W komórce gdakały kury. Na sosenkach za domem w młodniku, nazywanym parkiem, wisiały krople rosy. Jak tylko słońce wystrzeli – zagrają w nich barwy, zaiskrzą, zamigocą. A więc mamy dwudziestego ósmego czerwca roku... Ech, czy to warto mówić? – To był dzień, w którym zdecydowały się losy tego spokoju, tej morskiej słoneczności. Dzień, w którym zadecydowano, iż tutaj właśnie może nie zostanie ani jedna chata, że żadne drzewko wczepiające się korzeniami w piach się nie utrzyma. A ten dąb, co stoi na granicy wsi, rozrosły, sękaty jak stary gbur, może i on się nie ostać.

To był czerwiec 1919 roku, dzień, w którym w Wersalu podpisywano dokument, mający później uzyskać dziwną sławę. Dzisiaj to wielka Historia dotknęła swym żelaznym palcem ziemi, tutaj, w miejscu, gdzie po burzliwej nocy rozlał się poranny spokój.

Wzeszło słońce, łuska drobnej fali zamigotała czerwienią, u strądu jakby żywiej zachlupotało morze. Budź się Gdynio, nie patrz, że nad rzeką Kaczą, na wszystkich mapach nazywaną Chylonką, już słońce nieźle podpala żytko. Nie żytko, nawet nie ryby, będą twoją przyszłością. Wstawajcie Tesmery, Detlaffy, Szykowscy, Konkele, Panczochy, Kurry niegdyś Kurowscy, Tutkowscy, Górscy, Skwiercze – macie tu Polskę!

W roku 1919 wszystkich mieszkańców Gdyni można wymienić z nazwiska. To są właśnie ci „gburzy” i „rebecy”, i jeszcze niemiec-ki wójt Jansen. Kaszubów tutaj sami Niemcy nazywali strażnikami polskości. Nic dziwnego, że ten i ów Niemiec, próbował różnymi sposobami nawracać ich na niemiecką „wiarę”. W nazwisku Kurowskich pominięto „ski”, pozostał tylko, mniej rażący niemiec-kie ucho Kurr. Od lat, od niepamiętnych lat, w gdyńskiej szkółce nauczano po niemiecku. Mieściła jeszcze, w rozsiadłej jak kwoka chałupie krytej strzechą, mieszkanie „szkulnego” i pocztę. Tylko ksiądz, uczący religii, mówił po polsku. Drukowane po polsku były – katechizm i Pismo Święte.

W domach mówiono po kaszubsku. A więc Kaszub miał do czynienia z trzema niejako odmianami mowy – polską, swojską i niemiecką, która była także mową urzędu i lepiej sytuowanych warstw społecznych. Żeby do tych warstw doszłusować, trzeba było przyjąć tę mowę za swoją, dać się wchłonąć żywiołowi niemiecko-pruskiemu. Zresztą, na całym Pomorzu przez półtorawieczne awans oznaczał wynarodowienie. Nad prawowitymi gospodarzami Pomorza w takim układzie rzeczy zawisło niebezpieczeństwo – jeśli zdecydowałeś się zdobywać wiedzę, a w dalszej perspektywie może i stanowisko, to skutkiem było wynarodowienie. Jeśli zdecydowałeś się zachować swą narodowość, to tylko za cenę pozostania przy swojej rybackiej krypie, czy kawałku ojcowskiego zagonu, który rodził, kiedy chciał, rzadko wówczas, gdy było najbardziej potrzeba.

Ta sytuacja została właściwie oceniona przez działaczy kaszubskich, ludzi zawodów raczej praktycznych, nieprzygotowanych do roboty społecznikowskiej. Podejmowali jednak tę działalność bez pomocy z głębi kraju, bo tam były do rozwiązania inne liczne, i to niemałe, problemy.

Po Wersalu sytuacja się zmieniła. Korytarz wersalski przeszedł przez Kaszuby, ale Ziemia Łęborska i Słupska pozostały przy Niem-zech. „Korytarz pomorski” sięgający morza, przypominał człowieka, który chwycił się tylko jedną ręką i albo podciągnie się i chwyci oburącz, albo będzie musiał się cofnąć.

Jasne było, że wcześniej, czy później, właśnie w tym miejscu, wytworzy się sytuacja trudna i niebezpieczna. Nie trzeba było być prorokiem, żeby wiedzieć: Niemcy zrobią wszystko, aby odciąć ten polski dostęp do morza.

W 1919 roku Grabówek był jeszcze bezludziem, nazywał się w oficjalnej nomenklaturze Distelwaldem (lasem ostu). Wójt, którego

dobra stanowił, był Niemcem, wiedział, że powinien zakazywać używania polskiej mowy, używał jej jednak wówczas, kiedy rozmawiał z ludźmi sam na sam. Podobno był ludzki, za bezcen rozprze-
dawał biedocie działki, pieniądze przekazywał na zbożny cel, a kiedy umarł bezpotomnie, reszta majątku została przeznaczona na cele dobroczynne, zgodne z jego wolą. Po nim rządy objął twardy człowiek, zajadły Niemiec Jansen, który po polsku nie rozumiał, wprowadził rządy twardej ręki, a kiedy ważyły się losy granicy polsko-niemieckiej wszczyną wrzawę, jacy to dobrzy Niemcy zamieszkują Gdynię. Rządził niedługo, bo go Kaszubi kijami ze wsi przepędzili.

Generał Haller na Oksywiu

W 1920 roku we wsi Oksywie, gminy Kosakowo, pojawił się oddział nigdy jeszcze tutaj niespotykanego wojska. W niebieskich mundurach, francuskiego fasonu, w owijaczach. Był to pierwszy rzut polskiego żołnierza. Tak właśnie tutejsi Kaszubi – Chejki, Miotki i Sowce siedzący na Oksywiu od sześciuset lat mieli, po bez mała półtora wieku, zobaczyć polskie sztandary i polskie wojsko. Ale od razu zrobiono coś, co było zgrzytem nader nieprzyjemnym: nakazano wójtowi ten oddział rozmieścić po chałupach, dać furaż i wyżywienie. Długo generał Józef Haller wspominał ten błąd jako coś nieprzyjemnego. Nie dlatego, że Kaszuba żałował żołnierzowi chleba, ale dlatego, że musiał ten chleb dać pod przymusem. To pierwsze spotkanie z Polską wypadło niezręcznie, a może nawet źle.

Dziesiątego lutego, w dzień odwilżowy po wielkich mrozach, przyjeżdża do Wielkiej Wsi pod Puckiem, członek Rady Wojennej i dowódca wojsk polskich wysłanych na Pomorze, generał Józef Haller. Rybacy na jego ręce składają złoto w darze na rzecz polskiej armii. Polacy w Gdańsku także ofiarowują zebrane kosztowności na uzbrojenie armii polskiej. Podobno w tym samym dniu, waląc z armat, wycofywał się z Pucka oddział Grenzschatzu. Nazajutrz, 11 lutego ostatni żołnierz niemiecki opuścił Gdańsk.

Generał wjechał konno na lód, gdzie w pobliżu było już odtajające morze i wrzucił złoty pierścień w fale Bałtyku na znak zaślubin nowo powstałego państwa polskiego z Bałtykiem. Asystowali przy tym ułani z biało-czerwonymi proporcami, oficerowie i kupa luda z całej okolicy, z chorągwiami kościelnymi. Było też sporo rybackich łodzi z Pucka, z Chałup, z Helu. Niestety, pogoda nie sprzyjała, padał deszcz.

Odprawia się msza polowa. Kazanie ma głosić ksiądz major Józef Wrycza, który stoi obok generała.

Generał pochyla się i mówi:

– Ziąb, ludzie mokną, niech ksiądz skróci kazanie do dziesięciu minut.

Wrycza odpowiada:

– Przygotowałem kazanie na dwadzieścia minut, będę kazał dwadzieścia minut.

I słowa dotrzymał. To kazanie ze znamienym cytatem z Hieronima Derdowskiego:

Czujcie tu ze serca toni

Skład nasz apostołski:

Nie ma Kaszub bez Polonii

A bez Kaszub Polsci...

miało być w licznych publikacjach przytaczane, jako manifest polskości Kaszubów. I pozostało aktualne do dzisiaj.

Przeprowadzony w rok po zaślubinach Polski z morzem, spis ludności na całym należącym do Polski Pomorzu, czyli w „korytarzu” do morza – stwierdził, iż ziemię tę zamieszkuje 758 tysięcy Polaków i 176 tysięcy Niemców. Niestety te liczby nie wróżyły najlepiej przyszłości. Większość Kaszubów pozostała po drugiej stronie granicy, w państwie niemieckim.

Od Gdyni i Pucka – dalej po Lębork, Łebę, Słupsk, Ustkę i Darłowo tereny zamieszkałe przez ludność kaszubską, pozostały pod Niemcem. Jakaż gorycz musiała po tym zostać w sercach Kaszubów, którzy aż do Paryża wyprawili swą delegację z Antonim Abrahamem ze wsi Zdrada pod Puckiem. Godnie dobijali się o polską sprawę, ale niemiecka penetracja i wpływ na tych, co decydowali



Zatoka gdyńska przed rozpoczęciem budowy portu.

o przebiegu granicy, były większe. Nawet tłumacze przekręcali znaczenie słów, skutecznie osłabiając argumentację. Zorientował się w tym na przykład Roman Dmowski, i zrezygnował z tłumaczy, referując sam jak potrafił po angielsku.

Portem morskim drugiej Rzeczypospolitej, według ustaleń wersalskich, miał być Gdańsk. Gdańsk niczyj, Gdańsk państwo samo dla siebie, Gdańsk, który rozkwitał, gdy sprzymierzał się z Rzeczypospolitą, i podupadał, kiedy zaczynał z nią drzeć koty.

Po Wersalu Gdańsk, opanowany przez żywioł niemiecki, chciał pokazać, że będzie wodził Polskę za nos, że odegra – jakbyśmy to dzisiaj określili, rolę ministerstwa handlu zagranicznego dla Polski i przejmie rolę central eksportowych, nieźle przy tym łupiąc skórę Polsce. Pojawiają się poselskie interpelacje, i wniosek dotyczący budowy własnego portu, który wytrwale, wręcz bezkrytycznie torpeduje Ministerstwo Spraw Zagranicznych, uważając, że to koliduje z naszymi dobrymi stosunkami z Gdańskiem. Nawet wobec takiej postawy polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Gdańsk nie doceniał dobrej woli Rzeczypospolitej. We wrześniu 1922 roku poseł de Aleksander Rosset tak charakteryzuje stosunki z Gdańskiem: „Nasz stosunek do Gdańska jest dziś może bardziej zaostrożony niż kiedykolwiek i w istocie trzeba powiedzieć, że mamy nie jakiś ścisły związek z nim, lecz mamy jeszcze jedno z ościennych państw, które przysparza nam dzisiaj bodaj najwięcej kłopotu”.

To były czasy, kiedy przez Hel przejeżdżał pierwszy pociąg, przed którym baby rzucały się plackiem zagrzebując głowy w piasek, czasy kiedy Wunsche sprzedał za dwie marki wieś Chałupy na Helu i czasy, kiedy Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej, aby dać pracę bezrobotnym we wsi Gdynia postanowiło umocnić brzegi i wykonać drewniany pomost.

„Pamiętam jak dziś początek tych prac – pisze w siedemnaście lat później wojewoda pomorski dr Stanisław Wachowiak – kiedy jako podsekretarz stanu w Ministerstwie byłej Dzielnicy Pruskiej z dyrektorem Departamentu Pracy i Opieki Społecznej oraz z delegatem Departamentu Robót Publicznych, pojechałem w dżdżysty dzień listopadowy, krótko po objęciu urzędowania do Gdyni, którą pierwszy raz wówczas oglądałem, i która przedstawiała smętny obraz wioszczyzny rybackiej. Właśnie zwożono pale sosnowe, który zużyte miały być przy budowie pomostu”.

To był rok 1920, kiedy to na budowę czegoś na kształt przystani w Gdyni przeznaczono sumę 50 tysięcy marek. Historia jest ironicz-



Stary rybak gdyński sprzed stu laty, a może i jeszcze wcześniej, czas wtedy w Gdyni biegł bardzo powoli.



Żony rybaków niosące kosze z rybami na targ.



W starej checzy rybackiej. Kobieta w tradycyjnym stroju kaszubskim, zapewne przy niedzieli, czyta przy świeczce Pismo Święte.



Wnętrze chaty rybackiej we wsi Gdynia z przełomu XIX i XX wieku.



Stacyjka, jaka pozostała we wsi Gdynia po czasach niemieckich.

na. Gdyby Gdańsk nie był tak krnąbrny – najpewniej nadal pozostałby jedynym portem Rzeczypospolitej.

W lipcu 1920 roku do portu w Gdańsku zmierzały statki z ładunkiem amunicji. Wojska polskie wówczas cofając się przed bolszewikami oddają Zamość, droga do Warszawy stoi otworem, za tydzień, za dwa dokona się sławny „cud nad Wisłą”. A co wówczas dzieje się w Gdańsku? W porcie gdańskim na wieść, że idzie amunicja dla Polski wybucha strajk, amunicja nie zostanie przesłana na front. Ten właśnie fakt odegrał rolę jęczyczka u wagi, nawet ugodowcy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, reprezentujący postawę „nie drażnić Gdańska”, przyznają, iż budowa własnego portu jest koniecznością. 23 września 1923 roku zapada uchwała sejmowa – Polska będzie miała własny port!

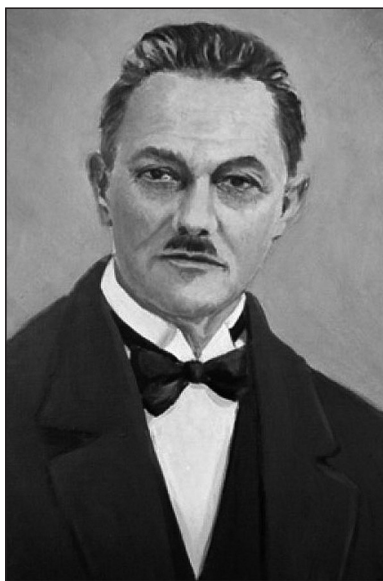
Gdzie będzie ten port? – A no, jeszcze nie wiadomo. Na razie wyjechały w teren rozliczne komisje. A teren ten był taki – 146 kilometrów wybrzeża, w tym osiemdziesiąt kilometrów Mierzei Helskiej, czyli czystego wybrzeża tylko 66 kilometrów. A możliwości? Też nie najbardziej urozmaicone. Najdogodniejsze miejsce, Jezioro Żarnowieckie, cóż kiedy jego zachodni brzeg stanowi granicę z Niemcami. Byłby dobry Tczew z czterdziestokilometrowym torem wodnym, podobnie jak Szczecin czy Antwerpia, port w głębi łądu, korzystny w sztormowe pogody, ale kłopotliwy zimą, przez ciągłe blokowanie toru wodnego krą i lodem. A poza tym, ujście Wisły jest w niemieckich rękach. Był też projekt Pucka, gdzie od brzegu, sypałoby się pirsy i mola w głąb zatoki. Dno jednakże okazało się nazbyt błotniste. Decyzja zapadła – wybrano Gdynię, przy ujściu rzeki Kaczej, w planach i katastrach nazywanej Chylonką. Zasięgnięto opinii ekspertów duńskich, którzy po rozpatrzeniu przedstawionych propozycji wskazali bez większych wahań Gdynię. W dniu 4 lipca



Droga przez wieś Gdynia.

1924 roku wreszcie podpisano umowę z konsorcjum polsko-francuskim na budowę portu. Kierownikiem robót zostaje człowiek, który dzisiaj ma w Gdyni swoją uliczkę w okolicach portu – inżynier Tadeusz Wenda.

„Jeżeli przez zawarcie umowy z konsorcjum sprawa budowy portu była względnie postanowiona, bo umowa przewidywała termin wykonania prac – pisze wojewoda pomorski Stanisław Wachowiak w swych wspomnieniach – to niepomrotnie gorzej przedstawiała się sprawa administracji politycznej przyszłego miasta. Tak się złożyło, że autor tej rozprawy zastawszy wojewodą pomorskim w roku 1924, tym pilnym zagadnieniom musiał poświęcić całą swoją uwagę. Nie podobna opisać ile się piętrzy przeszkód prawnych i finansowych. Przeszkód, które niejednokrotnie wydawały się nieprzezwyciężalne. Na szczęście taka była podówczas zwarta opinia społeczeństwa, że trzeba było tylko pilnować, aby ta czujność nie usnęła albo nie zmaląła. Postanowiłem tedy rozpocząć na wielką skalę akcję propagandową, zwłaszcza gdy



Inżynier Tadeusz Wenda, projektant i kierownik budowy portu gdyńskiego.



Wojewoda pomorski dr Stanisław Wachowiak. Jego wytrwałości, pracy i entuzjazmowi Gdynia w dużej mierze zawdzięczała swój szybki i pomyślny rozwój i wielkość.

sprzyjała mi ta okoliczność, że tak zwana propaganda korytarzowa osiągnęła w latach 1923-1927 swoje największe napięcie”.

Taka była wówczas atmosfera, dlatego zrozumiały był zbiorowy szloch w czasie obchodów pierwszego Święta Morza.

A więc Gdynia się buduje, i będzie się budowała, coraz szybciej, coraz okazalej.

W roku 1910 liczyła 900 mieszkańców. Jedenaście lat później – 1300, a dziesięć lat później już będzie miastem liczącym 30 tysięcy mieszkańców, aby w osiem lat, czyli przed samym wybuchem wojny, aż czterokrotnie wzrosła ich liczba.

Ale jeszcze stoi na samym brzegu kurhaus Szykowskiego. Prowadzi się wywłaszczenia i wykup gruntów pod port wojenny na Oksywiu. Gburzy – Nowc, Miotk, Chojka biorą po 30 groszy za każdy metr kwadratowy bagna należącego do ich ojcowizny. Nie, nie żałują niczego, to był całkiem dobry interes, bagno tyle, że było, ale żadnego pożytku nie dawało. Trzydzieści groszy za każdy metr, bułka kosztowała 3 grosze, a bagien tych jest a jest... Ale i potrzeba państwu nie hektar, nie dwa. Port zajmie bez mała tysiąc hektarów, blisko 225 hektarów będzie samej wody. A będzie to port nowoczesny, jakiego w Europie jeszcze nie było.

Jeździ inżynier Wenda, naciska kapelusz mocniej na oczy i pokazuje geometrom co i jak mierzyć. Sprzedający stawiają tylko jeden warunek, prawo do użytkowania drogi z Oksywiu do Gdyni biegnącej koło dębu, stojącego na granicy powiatów puckiego od północy i wejherowskiego od południa. Droga ta biegła, mniej więcej, po linii: plac Kaszubski, ul. Portowa, wiadukt, dworzec morski, nabrzeże Pilotowe, port wojenny, Oksywie. Piechotą do kościoła strądem – pół godziny spacerkiem.

Zaczynało się kotłować też wśród gdyńskich „gburów”, dzielą niegdyś ojcowskie zagony na budowlane parcele, sprzedają i budują kamienice czynszowe. Skoro nie ma ziemi-żywicielki, to niech kamień dochód przynosi – powiadają. Żydowskie i chrześcijańskie firmy budowlane z całej Polski zjeżdżają i licytują się w oferowaniu dogodnych warunków. Bo już nie ma gburów, dawniejszy kmięć zamienia się w kamienicznika, niedawny hreczkosiej dzisiaj już restauratorem albo hotelarzem. Knajpy i knajpki, bary i hotele powstają jak grzyby po deszczu. Nie każdemu nowobogackiemu wychodzi to na zdrowie. Taki Górski, z nadmiaru bogactwa całkiem zszedł na psy, balował dużo, rozpił się i rozłajdaczył. W sumie, życie mu jakoś nie wyszło.

Nie ma też już wkrótce „rebeców”, mieli po kawałku bieda-zagonów, podzielili na parcele, posprzedawali i budują czynszówki. W Gdyni sprzedaje się inaczej niż na Oksywiu, tutaj płacą po 100 złotych za metr kwadratowy żwirowatego piachu. Można milionerem zostać w jedną noc.

Tymczasem na budowę tysiącami przybywa biedota, wietrząc możliwość pracy, osiedlenia się i życiowej stabilizacji. Idą boso, jadą rowerami, pchają cały dobytek na taczkach, czy niemowlęcych wózkach. Ale niektórzy także w wynajętych wagonach towarowych z całym dobytkiem, nawet z końmi, wozami, sprzętami domowymi. Ci wcześniej już tu przeprowadzili rozeznanie, nie ma strachu, wcześniej czy później będzie dla nich robota. Tu będą mieli chleb, pracę, będą kimś. Jednakże wielu srodze się zawiedzie. Wielu bosych Antków z ciepłych stron, jak się ich wśród Kaszubów nazywa – nie podźwignie się w tym polskim eldorado, pozostaną w skrajnej nędzy.

Przyszła kolej i na karczmę Wojewskich, tej pod konarami dębu. Stary tonbank, przy którym rybacy machnąwszy po stopce machandlu znów łączyli usta z cejbuszkiem, puszczając smrodliwy dym, co Purtką by obalił, ustąpił miejsca nowoczesnemu szynkwasowi, a i machandlu, czyli jałowcówki, już się nie sprzedaje. Zamiast niego „małpki” – setkowe butelki żytniówki. Bo i karczma już nie nazywa się karczmą, tylko – barem „Pod dębem”.

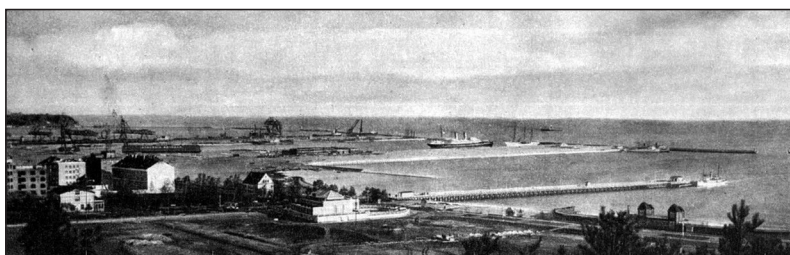
Co prawda, jeszcze Oksywie protestuje, bo zagwarantowaną niegdyś drogę do Gdyni przecięto. Bagruje się torfiastą dolinkę Chylonki, niegdyś rzeki Kaczej, morze wchodzi w głąb lądu, port dąży ku



Krzyż na plaży postawiony na pamiątkę rozpoczęcia budowy portu.



Pierwsze tory kolejowe do portu gdyńskiego. Na dalszym planie Oksywie.



Widok z Kamiennej Góry na budujący się port.



Konie na budowie portu gdyńskiego.

wzgórzom Grabówka, jeszcze zalesionym. Oksywie protestuje także z innego powodu – włączyli go do Gdyni. Cóż za zniewaga, było wójtostwem, bądź, co bądź, władzą i w innym powiecie. A teraz łączą go z jakąś rozkopaną, rozrytą wioszczyną, w której trwa budowa, która jeszcze nie wiadomo czym się skończy. Poszła petycja do Rady Ministrów, do Sejmu. Nic z tego. Ech, już nie ma Oksywia, jest tylko Gdynia dzielnica Oksywie i podobno ma tu być – port wojenny.

W roku 1926, 10 lutego, w kolejną rocznicę morskich zaślubin, Gdynia otrzymuje prawa miejskie. Byłaby też awansowana do godności miasta powiatowego, ale starosta nie znalazł tutaj godnej swego urzędu budowli, i wrócił do Wejherowa. Fatalny to był w skutkach czyn – do dzisiaj Gdynia nie jest miastem powiatowym.